

EVA MEIJER

DOM
PTAKÓW

POWIEŚĆ



MARGINESY

Przekład powstał dzięki wsparciu finansowemu
Dutch Foundation for Literature.

Nederlands
letterenfonds
dutch foundation
for literature

Het vogelhuis

COPYRIGHT © 2016 Eva Meijer and Cossee Publishers

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Alicja Oczko

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2020

Prolog

1965

Jacob szybko wlatuje do środka, woła mnie i natychmiast wyfruwa na zewnątrz. Nerwowe zachowanie nie jest w jego stylu, nigdy też nie oddala się tak bardzo od gniazda po wykluciu się młodych. Zazwyczaj z rana pojawia się kilka razy przy karmniku, a potem trzyma się w pobliżu drewnianej budki lęgowej na brzozie – jest spokojnym ptakiem, dużym jak na sikorę bogatkę, dobrym ojcem.

Udaję się za nim i już w ogrodzie słyszę maszyny. Biegnę w drewniakach – są niepraktyczne, omal nie ześlizgną mi się ze stóp – tylko nie to, nie ten żywopłot, nie na wiosnę. Krępy mężczyzna przycina ogrodzenie tym ich urządzeniem elektrycznym, nie słyszy mnie z powodu hałasu. Wciskam się między maszynę a żywopłot. Dźwięk wszystko zagłusza, opada na mnie falami, przenika przeze mnie.

Mężczyzna podskakuje, widząc mnie nagle przed sobą, wyłącza maszynę, zdejmuje z uszu ochraniacze.

– Co jest, paniusiu?

– Teraz nie można przycinać. W tym żywopłocie jest pełno gniazd. Z większości jaj wykluły się już młode.

Mój głos jest wyższy niż zwykle, mam wrażenie, jakby ktoś ścisnął mnie za gardło.

– To niech pani idzie do gminy.

Ponownie włącza maszynę.

Nie. Gałęzie kłują mnie w plecy. Przesuwam się razem z nim w lewo, w prawo.

– No, proszę się odsunąć.

– Jak chcesz przycinać ten żywopłot, to najpierw będziesz musiał się mnie pozbyć.

Wzdycha.

– W takim razie zacznę z drugiej strony.

Trzyma urządzenie w gotowości, bardziej jako bufor niż broń.

Tam są drozdy z brzuskami w brązowe cętki. Kręcę głową.

– Naprawdę nie.

– Wykonuję tylko swoją pracę.

– Jaki jest numer do twojego szefa?

Podaje mi nazwisko i numer telefonu do gminy. Czeka, aż mężczyzna zniknie na końcu ścieżki. Na pewno pójdzie teraz do innego żywopłotu.

Wszędzie pisk – ptasich rodziców nigdzie nie widać, młode życie daje o sobie znać. Ojciec i matka wrócą, mam nadzieję, że nie przestraszyli się za bardzo. W pośpiechu idę do domu, pot leje mi się po plecach, nie zatrzymuję się, żeby zdjąć sweter.

– Czy mogę rozmawiać z panem Everitem? To pilne.

Kiedy czekam, siada przy mnie Terra. Zawsze wyczuwa, gdy coś się dzieje. Ptaki są o wiele wrażliwsze od nas. Wciąż jeszcze trochę dyszę.

– Panie Everitt, dobrze, że mógł pan podejść do telefonu. Mówi Len Howard, z Ditchling. Dziś rano z przerażeniem odkryłam, że jeden z pana ludzi przycina żywopłot. Jest okres lęgowy! Obserwuję tu ptaki. To zakłóca badania.

Pan Everitt informuje mnie, że muszę złożyć pisemny wniosek o wstrzymanie przycinki, żeby rada gminy mogła zdecydować w tej sprawie. On sam takiej decyzji podjąć nie może. Dziękuję mu uprzejmie, proszę o zapewnienie, że do tego momentu przycinka nie będzie prowadzona.

– Zrobię, co w mojej mocy – odpowiada. – Zwykle mnie słuchają.

Kaszle jak palacz.

Wiem, że sikorki natychmiast dadzą mi znać, gdyby znowu zaczęli, lecz mimo to przez resztę dnia jestem niespokojna. Czasem odgłos wiatru brzmi jak przycinanie, to znów przypomina je warkot samochodu w oddali. Jacob też zdradza niepokój. Nie znałam go takiego. Jego wiek – ma co najmniej sześć lat – może mieć z tym związek.

Piszę list. Muszą mnie posłuchać.

*

Następnego ranka odpowiednio wcześniej idę do wsi. Jest pierwszy naprawdę ciepły dzień roku, powietrze mnie przytłacza, wgniata w drogę, moje ciało jest właściwie zbyt ciężkie, coraz cięższe. Dawniej zajmowało mi to dziesięć minut równym krokiem, teraz prawie dwadzieścia. Stukam w okno sklepu spożywczego. Nie ma jeszcze dziewiętej.

– Theo?

Stukam ponownie, widzę zmierzwioną białą czuprynę poruszającą się za ladą. Podnosi się, wyciąga rękę w geście pozdrowienia albo prośby, żebym zaczekała.

Hałas, szcęk żelaza o żelazo.

– Gwendolen. Co cię tu sprowadza tak wcześniej?

Sen znaczy jeszcze jego twarz, kreśli linie delikatne jak pajęczyna.

Mówię, że zamierzają przyciąć żywoplot, i pokazuję mu list.

– Podpiszesz?

Zakłada okulary, czyta uważnie, potem w trzech szufladach szuka długopisu.

– Wczoraj za ladą stała Esther. Wszystko leży gdzie indziej. Nawet klucza do drzwi wejściowych nie mogłem znaleźć.

– Co u Esther?

– Zbiera na motorower. Jej rodzicom to się nie podoba, ale wszystkie te dziewczyny takie mają.

Patrzy na mnie sponad okularów, krótko wzrusza ramionami.

– Ma już szesnaście lat?

Wciąż widzę ją przed sobą jako małą dziewczynkę, pierwszą córkę jego córki. Bardzo upartą, oczy niczym przejście do innego świata. Nadal takie ma, podkreślone czarną konturówką.

– W przyszłym miesiącu. Może zostaw tu ten list. Dam do podpisu każdemu, kto przyjdzie.

– Dobry pomysł.

Umawiamy się, że wrócę po południu. Dziękuję mu, zabieram swoją torbę na zakupy i robię rundkę. Piekarz daje mi wczorajszy chleb. Rzeźnik zachował obrzynki tłuszczu ze słoniny. Od sprzedawcy warzyw dostaję torbę starych ja-

blek. Właściwie miałam zamiar pójść także do szkółki drzew w Brighton, ale upał sprawia, że decyduję się unikać stromych ulic. W drodze na górę przylatuje powitać mnie Jacob, widzę też parę rudzików, które w zeszłym roku gnieździły się w moim ogrodzie. Może w tym roku mieszkają u sąsiadki, co nie byłoby zbyt rozsądne – jej kot to największy i najstraszliwszy łowca ptaków, jakiego znam. Jest jeszcze gorszy niż ten mały czarny, którego miała poprzednio. Poza tym ona sama należy do ciekawskich i zagląda do wszystkich budek lęgowych, przez co koty znają ich miejsce. Już trzy razy jej mówiłam, że odpowiada za dramaty, które się potem rozgrywają.

W ogrodzie przed domem sikorki wygrzewają się w słońcu, skrzydła rozpostarte. Jacob i Jednooka II przyjaźnie siedzą obok siebie, rozleniwieni upałem, jakby zazwyczaj nie sprzeciali się całymi dniami. Terra leży na ścieżce, dokładnie tam, gdzie zawsze chodzę. Najstarszy syn Jacoba zajął miejsce na niskiej, szerokiej gałęzi. Jest trochę powolniejszy niż reszta i w pełni korzysta z mojego karmnika. Dotarłszy do domu, opadam na zielony fotel z chwościkami. Wkrótce będę musiała odbyć całą tę trasę jeszcze raz. Kropka ląduje mi na włosach i od razu odlatuje, a za nią Brzeżek. To zabawa, którą młodziaki każdego roku wymyślają na nowo. Robią trzy okrążenia od szafy ku mojej głowie, do stołu, ku szafie, potem wylatują za okno – tak szybko i tak pełne obecnej chwili, tylko obecnej chwili.

*

Na początku ścieżki Jacob przylatuje mnie ostrzec. Jeszcze zanim to usłyszę, wiem, że zaczęli. Po otrzymaniu pisma z gmi-

ny – niestety, niemożliwe, indywidualne interesy, harmonogram prac – i wysłaniu zażalenia przez prawie dwa tygodnie nie ruszałam się z miejsca. Wczoraj dostałam wiadomość, że burmistrz jednak rozważył moją skargę, i sądziłam, że niebezpieczeństwo minęło. Idę najszybciej, jak potrafię, kulejąc niczym stary koń, teraz są we trójkę. Jacob jak szalony lata tam i z powrotem, podobnie jak reszta sikorek, rudziki i para wróbli.

– Tam są gniazda! – wołam, serce mi wali, stało się, już tylko kosy, może akurat zdążyły wylecieć, rudziki na pewno były jeszcze za małe.

Młody człowiek o rudych, półdługich włosach, okrągła twarz pełna piegów, zdejmuje z uszu ochroniacze.

– Co pani mówi?

– Pozabijaliście wszystkie młode ptaki – wypluwam słowa wraz ze śliną.

Spogląda na żywoplot, mruży oczy pod słońce, na moment wstrzymuje oddech, waha się.

– Przepraszam.

– Popatrz.

Jacob nawołuje i zali się, wróble świergoczą, zwołują inne wróble. Kosy wydają płaczliwy dźwięk, którego wcześniej u nich nie słyszałam.

Chłopak patrzy na drozdy, rudziki i wróble, które latają nad żywoplotem, na pole i wzrok jego wraca, ponad głowami kolegów, do mnie. Niebieskie oczy się chmurzą. Wstrzymuje dwóch pozostałych mężczyzn, wskazuje na wróble na ukos przed sobą. Zapada cisza – tym głośniejsze słyszę ptaki. Krzyczą i krzyczą, jak podczas ataku srok, tylko bez końca.

Czekam na dworze, dopóki mężczyźni nie znikną z pola widzenia. Wszystkie ptaki opuściły żywopłot, został tylko Jacob. Wołam go, oferuję orzeszka. Nie przylatuje.

Idę wzdłuż żywopłotu, szukam gniazd, młodych, które się uchowaly, nie widzę żadnego, tylko piórka między linią przyciętych listków i gałęzi. Na rogu znajduję malucha, który wypadł, wróbla, ledwo opierzonego – ostrożnie podnoszę brązowe ciało, już wiem, że nie jest dobrze. Ptaszek się trzęsie, potem zapada w bezruch, bezruch o wiele większy niż ten, który zawiera życie. Drugą ręką wygrzebuję dołek w ziemi pod krzakiem, składam go w nim ostrożnie, po czym zakopuję.

Cisza wije się wokół mnie i towarzyszy mi do domu, po którym sikorki latają bardziej nerwowo niż zwykle. Napełniam im karmnik, wcześniej niż zazwyczaj, może to odwróci ich uwagę – orzeszki, chleb, parę kawałków gruszki, żadnych tłustych rzeczy, ponieważ trwa sezon lęgowy.

Zieleń późnej wiosny wciąż jest oszałamiająca, skrząca – przepych. Siadam na jednym ze starych foteli ogrodowych przed domem, wydaje się, jakby moje biodro chciało się wydostać na zewnątrz. Przeklinam to stare ciało.

Na ramieniu ląduje mi Terra. Jej pazurki kłują mnie przez materiał bluzki. Jest przylepna, choć nigdy nie śpi w domu. Uwiła gniazdo na wysokiej jabłoni, nie w żywopłocie, dzięki Bogu. Przycinanie nie zrobiło na niej wrażenia – przeżyła wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nie warto się przejmować. Dziobem stuka mnie w ramię, leciutko, jakby chciała mi o czymś przypomnieć.



Gwiazda 1

Behawioryzm, najważniejsza w naszych czasach filozofia badająca zachowania, zakłada, że prawidłowe z naukowego punktu widzenia dane można pozyskać wyłącznie w sytuacji wolnej od wszelkich bodźców, w której reakcje da się zmierzyć za pomocą odtwarzalnych eksperymentów. Zawartość głów zwierząt, w tym ludzi, postrzega się jako czarną skrzynkę, do której nie mamy dostępu. Opis zachowania niewiele wnosi do tej interpretacji naukowego badania, ponieważ nie da się go obiektywnie zmierzyć. Dzieło Darwina na temat procesów poznawczych zwierząt uchodzi na przykład za nienaukowe, ponieważ opiera się w dużej mierze na anegdotach. Behawioryzm jednak nie uwzględnia w istocie faktu, że wiele zwierząt zachowuje się w niewoli inaczej niż na wolności. Większość ptaków z natury jest płochliwa, często wręcz boi się ludzi, dlatego trzymanie ich w laboratoriach musi wpłynąć na ich zachowanie, a więc na wyniki badań. Ponadto badanie reakcji mierzalnych, zakładające, że myśli i uczucia zwierząt nie są poznawalne, daje wyniki, które ten obraz potwierdzają. Kiedy traktuje się kogoś jak maszynę, znajdzie to odbicie w tezach, które razem określą przestrzeń, w jakiej obiekt badań – celowo piszę tu

„obiekt” – może udzielać odpowiedzi. Ten tak zwany obiektywny sposób badania zwierząt jest zatem równie zabarwiony hipotezami jak inne metody.

Minęło już ponad dziesięć lat, odkąd przeprowadziłam się do domku w zachodnim Sussex, który nazwałam Domem ptaków. Stoi pod niewielkim lasem i blisko terenów przyrodniczych, gdzie żyje niezliczona ilość ptaków i innych zwierząt – grzywacze i kukulki, lisy i borsuki, myszy polne i krety, myszolowy i puszczyki, pierwiosniki i głowienki. W drzewach i krzewach wokół domu mieszkało wiele małych ptaków, takich jak kosy, sikorki, rudziki i wróble. Ustawiłam dla nich karmnik przed domem, który o siódmej rano i piątej po południu zapelniałam różnymi smakowitościami. Postawiłam też basenik, a przy domu, na starym dębie i jabłoni, powiesiłam kilka budek lęgowych. Nie trwało długo, gdy pojawiły się pierwsze zaciekawione sikorki. Od razu zostały przepędzone przez wróble, które zajmują każdy teren, jeśli tylko nadarzy się okazja. Wróble bały się mnie jednak bardziej niż sikorki, a ponieważ dużo przesiadywałam na ławce w ogrodzie, żeby obserwować ptaki, wszystkie mogły się częstować jedzeniem i kontrolować zmiany w domu.

Przyjechałam w lutym 1938 roku. Większość ptaków była już pochłonięta szukaniem miejsca na gniazdo, a niektóre odpowiednio partnera. Zajmowały się bardziej sobą niż mną. W marcu zaczęło się to stopniowo zmieniać. Jedna z sikorek była bardziej bezczelna niż reszta – Billy, starszy samczyk o dumnej postawie i donośnym głosie, codziennie rano jako pierwszy podlatywał do karmnika, a w południe do baseniku, żeby się dokładnie umyć. Pewnego ciepłego dnia w kwietniu wleciał przez otwarte okno do domu, zrobił rundkę po salonie i ponownie szybko wyfrunął

na zewnątrz. Następnego dnia znów się pojawił. Sikory bogatki uczą się między innymi, dobrze przypatrując się sobie nawzajem, i w krótkim czasie wraz Billym w domu zjawiała się Zielinka, jego partnerka, którą tak nazywałam z powodu zielonego poblasku na piórkach. Od tej pory nigdy nie zamykałam górnego lufcika, żeby mogły sobie swobodnie wlatywać i wylatywać. To był początek szczególnej sytuacji mieszkaniowej, która trwa po dziś dzień i która wiele mnie nauczyła.

1900

– Spójrz, Lennie.

Tata trzyma coś w ręce. Biegnę do niego.

– Sikoreczka?

– Modraszka. Wypadła z gniazda, znalazłem ją pod jednym z buków przy szkole dla dziewcząt. A raczej Peter ją znalazł.

Peter merda ogonem, bo usłyszał swoje imię.

– Potrzyмай ją na chwilę, to wezmę pudełko.

Piórka – jeszcze nigdy nie czułam czegoś tak delikatnego. Układam dłonie w miseczkę, gniazdko, i podnoszę do ust. Całuję ptaszynkę. Taka miękka! Taka niebieska ta główka! Stworzonko się porusza, lekko otrząsa, ogarnia mnie strach, ale trzymam dłonie mocno złączone.

– Włóż ją tutaj. Bardzo ostrożnie.

Tata przyniósł z gabinetu pudełko, na dnie leży stary szal.

Wsuwam do niego złączone dłonie, dopóki nie poczuje dna pudełka, wtedy je otwieram, powoli.

– Świetnie. To teraz pójdziemy po coś do jedzenia.

Bierze mnie za rękę. Olive, Kings i Duds są w szkole, mnie mama jeszcze nie pozwala, a teraz mam szczęście. Teraz wreszcie mam szczęście.

– Floor? – Tata wsuwa głowę do pokoju mamy. – Idę z Lennie po tatara dla sikorki.

– Nazywajże to dziecko po prostu Gwendolen. Nie musisz pracować?

Głos matki brzmi łżej niż przez ostatnie dni. Może nie boli jej już głowa.

Tata bagatelizuje pytanie.

– Podejdź, Gwendolen.

Z niechęcią wchodzę do ciemnego pokoju. Pachnie snem i czymś jeszcze, czymś starym. Matka poprawia mi sukienkę, potem przyciska mnie do siebie. To ona tak pachnie. Kiedy mnie puszcza, szybko biegnę do ojca, który czeka na zewnątrz.

Podskakując, idę szeroką ulicą tak wolno, że trzymam się dokładnie obok niego.

– Dokąd idziemy?

– Najpierw do rzeźnika, a potem do pana Volta.

Podskakuję coraz wyżej, jestem w tym naprawdę dobra. Stawiam stopy dokładnie w tym samym momencie co tata. Pa-dam, pa-dam, kopyta półkonia.

U rzeźnika Peter musi zaczekać na zewnątrz. Siada, już o tym wie. Głaszczę go po białym kołnierzyku, po czym szybko wbiegam za tatą do środka.

– Poproszę ładny kawałek tatara. To dla modraszki, więc nie musi być duży.

Gruby James nie zawsze pracuje w masarni, tylko wtedy, gdy nie ma samego pana Johnsona. Jest dość powolny i nie daje plasterka kielbasy.

– Dziękuję. Czy mogę do tego prosić o plasterek kielbasy?

Gruby James wrusza ramionami, odwraca się, żeby odkroić wędliny. Ojciec puszcza do mnie oko. Na zewnątrz dzieli plasterki na pół, jedna połówka dla Petera, druga dla mnie.

Pan Volt sprzedaje różne rzeczy. Jego jedno oko znajduje się trochę niżej niż drugie, jest też wybaluszone. Duda powiedział, że ktoś go mocno uderzył, wyskoczyło mu z głowy i już nie wróciło na swoje miejsce, a Olive twierdzi, że pan Volt na to oko nie widzi, ale zawsze nim na mnie patrzy, jakby mnie jak najbardziej widział, jakby właśnie widział więcej rzeczy, których inni ludzie nie dostrzegają.

– Dzień dobry, panie Howard, dzień dobry, panienko. Czym mogę służyć?

– Trochę nasion dla ptaków poproszę, dla modraszki.

– Uniwersalny pokarm. Ile?

Zdejmuje puszkę z górnej półki i sięga po papierową torebkę.

– Dopóki mała znowu nie zacznie latać.

Cały sklep jest zastawiony puszkami, a w rogu znajduje się szkielet. Podchodzę do niego, dotykam kości, wzdrygam się, gdy się porusza.

– O tak, uważaj – mówi pan Volt. – Czasem nagle duch w niego wstępuje.

– Ile płacę? – pyta ojciec.

– Ach, za taką ilość nie warto liczyć. Panienko?

Podchodzę do lady.

– Pająk czy żuk?

– Żuk.

Z jednego ze słoików pod ladą wyjmuję dla mnie smakołyk, zielono-czerwony, w kształcie żuka.

– Dziękuję panu.

Kłaniam się tak, jak ćwiczyłam z Olive.

– Pięknie.

Peter biegnie przed nami w drodze do domu. Smakołyk jest miękki i bardzo słodki. Wyjmuję go z buzi, żeby sprawdzić, czy ma jeszcze ten sam kształt. Żuk stał się miękką grudką. Żuczkiem grudkożuczkiem.

Tessa otwiera drzwi dokładnie w chwili, gdy przed nimi stajemy. Mijam ją, biegnąc wysokim korytarzem do pokoju, w którym na stole nadal stoi pudełko z modraszka.

– Jeszcze żyje.

– Świetnie. No, to do dzieła. Która jest teraz?

Podchodzę do zegara na parapecie.

– Trzecia.

– Dokładnie trzecia?

– Prawie dokładnie. Minuta, nie, dwie minuty po trzeciej.

– Czyli prawie dokładnie. Słuchaj uważnie: musimy tego ptaszka karmić co godzinę.

Ojciec robi małą kuleczkę z tatarą, małym palcem wsuwa ją do ptasiego gardła. Ptak przetyka. Wydaję cichy okrzyk radości.

– Potem zrobię mieszankę ziaren z tatarą, rozdrobnioną, z wodą. I karmienie. Jeżeli ptaszek jutro jeszcze tu będzie, to też możesz spróbować.

Podaje modraszce jeszcze jedną kuleczkę, i jeszcze jedną, aż ta ma dość. Palce ojca są długie i zręczne. Przyglądam się uważnie z bardzo bliska, żebym jutro też potrafiła.

– Poproś Kokkie o jakąś szmatkę, mam wrażenie, że maleństwu jest zimno.

– Mogę go też potrzymać?

Ojciec kręci głową. Biegnę do kuchni.

– Kokkie, Kokkie, mamy sikorkę. Masz może jakąś szmatkę? Jest jej zimno.

Przeskakuję z lewej nogi na prawą, z prawej na lewą.

– Dziecko, uspokój się. – Gosposia podnosi się, stękając. – Nie krzycz tak, twoja mama źle się czuje. Chodź.

Schodzę za nią wąskimi stromymi schodkami do piwnicy – małe kroczyki, moja ręka na wilgotnej ścianie.

– Jak jutro będzie jeszcze żyła, będę mogła ją nakarmić.

Kokkie chrząka, wyjmuję szmatkę z otwartej szafy przy tylnej ścianie. Biorę ją od niej.

– Idź ostrożnie, dobrze? – woła za mną.

Jestem już prawie na górze.

„CHCĘ SIĘ DOWIEDZIEĆ, JAK SIĘ ZACHOWUJĄ, KIEDY SĄ WOLNE”.

Len Howard miała ponad czterdzieści lat, kiedy postanowiła porzucić londyńskie życie i karierę skrzypaczki. Chciała resztę dni poświęcić swojej jedynej prawdziwej pasji: ptakom. Miłość do nich podsycił w Len charyzmatyczny ojciec poeta, który nie potrafił przejść obojętnie obok rannego ptaka.

Kiedy przeniosła się do małego domku w Sussex, napisała dwa bestsellery, zadziwiając świat swoimi spostrzeżeniami na temat sikor, rudzików, wróbli i innych ptaków, które mieszkają w pobliżu, swobodnie wlatywały przez jej okna, a nawet przysiadły na ramieniu i głowie, gdy pisała. Budki lęgowe pokrywały ściany jej domu wewnątrz i na zewnątrz. Uczyła się ich i dokonywała muzycznych transkrypcji ich pieśni.

Co sprawiło, że radykalnie zmieniała życie i odsunęła się od rodziny?

Co życie bogatek mówi nam o człowieku?

I czy można odciąć się od oczekiwań innych wobec siebie?

A także co to znaczy mieć gdzieś swój dom?

Ta poruszająca powieść ukazuje prawdziwą historię niezwykłej kobiety, która postanowiła przeciwstawić się oczekiwaniom społeczeństwa, oraz radość, jaką czerpała z niezwykłego związku ze światem przyrody.



PATRONAT MEDIALNY

MARGINESY.COM.PL



cena 37,90 zł

w sprzedaży także

